

Najpierw Donald Trump w Radzie Bezpieczeństwa ONZ oskarżył Chiny o mieszanie się w zbliżające się amerykańskie wybory. Później ten sam zarzut ponowił wiceprezydent Mike Pence, uznając, że skala chińskiej ingerencji przekracza tę stosowaną wcześniej przez Rosjan i jej celem jest zmiana prezydenta USA. Główne media amerykańskie uznały obie wypowiedzi za powrót do zimnowojennej retoryki i dowód nasilającego się konfliktu geopolitycznego między dwoma mocarstwami. Pence wymienił cały katalog chińskich win. Uznał, że stosują ekonomiczną agresję, aby budować potencjał geopolityczny i militarny. Wymuszają na amerykańskich korporacjach, aby przekazywały sekrety technologiczne, jeśli chcą uzyskać dostęp do tamtejszego rynku. W sposób masowy kradną technologie.

Wypychani z Bałkanów

Już niemal rok temu w jednym ze swoich przemówień prezydent USA uznał Państwo Środka za strategicznego rywala. W czerwcu nałożył karne cła na import z Chin o wartości 34 mld dol., we wrześniu poszerzył te środki o kolejne 200 mld dol. importowanych dóbr oraz zapowiedział nałożenie dalszych sankcji na pozostałą kwotę importu, która w sumie w ciągu roku przekracza 500 mld dol.

Celem Trumpa jest nie tylko ochrona miejsc pracy w Ameryce, ale przede wszystkim uderzenie w podstawy rozwoju gospodarczego rywala. Chodzi o ograniczenie inwestycji zagranicznych w tym kraju, a tym samym zmniejszenie skali przekazywania technologii. Celem jest przerwanie globalnego łańcucha produkcji, w ramach którego firmy chińskie nie tylko produkują pracochłonne i mało rozwinięte technologicznie produkty, ale coraz bardziej specjalizują się w tzw. dobrach kapitałowych, a więc bardziej zaawansowanych komponentach używanych w rozmaitych branżach (m.in. telekomunikacji, przemyśle samochodowym, maszynowym itp.). Wcześniej amerykańscy negocjatorzy przedstawili Chinom ponad 140 oczekiwań, które miały nie tylko ograniczać nadwyżkę eksportową tego kraju, ale i faktycznie uczynić niemożliwymi do osiągnięcia ambitne cele rozwoju technologicznego, znane jako „Made in China 2025”.

Dodać należy, że Stany Zjednoczone coraz energiczniej przeciwdziałają przejmowaniu amerykańskich firm przez chińskich inwestorów w celu zdobycia unikalnej technologii. Administracja rozważa ograniczenie możliwości studiowania Chińczyków na uczelniach w Stanach, zwłaszcza na kierunkach mających duże znaczenie dla technologii przemysłowych i wojskowych. W USA trwa ożywiona debata wokół instytutów Konfucjusza, które promują chińską kulturę, a także wokół chińskiej imigracji. Są one podejrzewane o wywieranie nadmiernego wpływu

politycznego. USA sprzedały niedawno uzbrojenie dla Tajwanu o wartości ponad 300 mld dol., a jednocześnie nałożyły sankcję na Chiny za kupowanie nowoczesnej broni z Rosji. Te wszystkie działania wykraczają poza chęć uporządkowania relacji handlowych.

Chiny odpowiedziały własnymi sankcjami i przygotowują gospodarkę na możliwe skutki wojny handlowej. Przypominają Amerykanom o swych wpływach na Półwyspie Koreańskim, a także zacieśniają relacje strategiczne z Rosją. We wrześniu odbyły się wspólne manewry „Wostok”, największe na terenie Rosji od roku 1981. Pogarszające się relacje Rosji z USA ułatwiają rozwój współpracy między Moskwą a Pekinem. Zapowiedź wycofania Waszyngtonu z układu o całkowitej likwidacji pocisków rakietowych średniego zasięgu zapewne tę kooperację zacieśni. Ponadto Chiny starają się wbić klin w relacje sojusznicze Zachodu, zwłaszcza między USA a Europą Zachodnią. Są też aktywne w samej Europie, zwłaszcza Środkowo-Wschodniej i na Bałkanach.

Niedawno szef niemieckiej dyplomacji ostrzegł, że na Bałkanach Zachodnich wpływy Pekinu mogą się stać silniejsze niż europejskie. Zwrócił uwagę na skalę chińskich inwestycji, znacznie przewyższających te dokonywane przez firmy Starego Kontynentu, a także niechęć niektórych państw UE do poszerzenia Unii o kraje tego regionu.

Najważniejszy cel USA

Europa Zachodnia ma więc wiele wspólnych interesów z USA. Niedawny raport PwC i Komisji Europejskiej alarmował o lawinowym wzroście kradzieży europejskich technologii przez chińskich hakerów. Szef Komisji przyznał w rozmowie z premierem Li Keqiangiem w trakcie dwustronnego szczytu w czerwcu, że podziela wiele wątpliwości prezydenta Trumpa wobec stosowanego przez Chiny kapitalizmu państwowego.

W sierpniu odbyło się w Waszyngtonie spotkanie dyplomatów z USA, Japonii i UE poświęcone szukaniu sposobów wyeliminowania możliwości ograniczania konkurencji rynkowej przez interwencjonizm państwowy, subsydiowanie przedsiębiorstw państwowych lub wymuszanie przekazywania technologii przez inwestorów zagranicznych. Z kolei Japończycy od dłuższego czasu namawiają Amerykanów i Europejczyków do wspólnych działań prawnych przeciwko Chinom na forum Światowej Organizacji Handlu. Bruksela przekonuje zaś Waszyngton do takiego zreformowania WTO, aby ukrócić krytykowane przez Zachód praktyki

Państwa Środka. Do tej pory administracja amerykańska uznawała tego typu reakcję za nieprzynoszącą szybkiej i zadowalającej zmiany polityki Pekinu. Dlatego starała się raczej sparaliżować funkcjonowanie WTO.

Podstawowym wyzwaniem dla Zachodu nie jest jednak uzgodnienie wspólnej taktyki wobec Chin bądź Rosji, ale raczej ułożenie wzajemnych relacji gospodarczych i geopolitycznych. Początkowo administracja Trumpa starała się przebudować relacje ekonomiczne z niemal wszystkimi sojusznikami w celu zwiększenia własnych korzyści. To niewątpliwie zraziło do Trumpa elity w Europie Zachodniej.

Jednak w ostatnich miesiącach wyraźnie celem Waszyngtonu jest skupienie wysiłku na rywalizacji z Chinami. Waszyngton podpisał umowę gospodarczą z Republiką Korei i nową umowę z Meksykiem i Kanadą. W tej ostatniej są rozwiązania, które wyraźnie skierowano przeciwko Chinom. Chodzi m.in. o utrudnienie podejmowania przez oba sąsiadujące kraje negocjacji handlowych z państwami niemającymi statusu gospodarki rynkowej. USA zastrzegły sobie również prawo do ograniczenia importu z obu krajów, jeśli nie będzie on miał odpowiedniego „lokalnego wkładu” produkcji, lub możliwość wprowadzenia wyższych ceł ze względu na bezpieczeństwo narodowe. Podobne rozwiązania USA zamierzają wprowadzić do umów z UE i Japonią, których negocjowanie niedawno rozpoczęto.

W obu przypadkach celem Waszyngtonu są rzecz jasna ustępstwa partnerów w sprawach gospodarczych, ale również zawarcie porozumienia i skupienie wysiłków na wspólnym powstrzymaniu Państwa Środka.

Bruksela zbyt słaba

Strona unijna twardo broni swoich interesów i na razie nie zamierza ustąpić wobec oczekiwań Waszyngtonu. Jednocześnie nie chce dopuścić do kolejnych amerykańskich sankcji, tym razem podwyższających cła na europejskie samochody. Według ekspertów celem Europejczyków może być przeciąganie negocjacji w celu ograniczenia żądań Waszyngtonu albo wręcz do czasu zmiany władzy na Kapitolu.

Ani Paryż, ani Berlin nie chcą kolejnej konfrontacji dwubiegunowej i marzą o zbudowaniu osobnego europejskiego wektora w polityce międzynarodowej. Przejawem tego jest dążenie do strategicznej autonomii unijnej polityki bezpieczeństwa i obrony wobec USA i NATO. Problemem jest jednak to, że taka ambicja może się okazać iluzją, zwłaszcza w sytuacji pogłębienia rywalizacji chińsko-amerykańskiej. Na ostatnim szczycie Azja-Europa Bruksela okazała się zbyt

słaba, aby umieścić w końcowym komunikacie wezwanie do zakończenia interwencjonizmu rządowego, który zakłóca grę rynkową.

Dyplomaci unijni dążą do podpisania z Chinami porozumienia o zakazie cyberszpiegostwa, na wzór umowy z 2015 r. zawartej między Waszyngtonem i Pekinem. Niemniej raporty Amerykanów wskazują, że wspomniana umowa została później złamana przez chiński rząd. Trudno uznać, by dyplomatyczne działania UE okazały się w tej mierze bardziej skuteczne, zwłaszcza prowadzone niezależnie od USA.

Europejscy politycy starają się bronić własnych interesów gospodarczych w negocjacjach transatlantyckich. Ale muszą mieć świadomość, że przedłużające się spory z Waszyngtonem, a także chęć tworzenia niezależnego europejskiego bieguna geopolitycznego – osłabiają spójność Zachodu. Jednocześnie nie dają gwarancji sukcesu w konfrontacji z nowymi wyzwaniami strategicznymi.